

Warszawa Towarzystwo  
ul. Nowolipki 10/27  
00-153 Warszawa, tel. 31-39-73

Notatka dotycząca pobytu p. H. Józewskiego  
w Gliwicach.

Po Powstaniu Warszawskim i przeszło półrocznej tułaczce znaleźliśmy w lipcu 1945 roku stałe locum w Gliwicach: rodzice, ja z mężem /który wrócił z niewoli popowstańczej z Altengrabov/ i półrocznym synkiem. Obaj bracia moi zginęli w Powstaniu. W listopadzie 1946 urodziłam córeczkę.

W Gliwicach zamieszkaliśmy na peryferiach miasta, w jednym z domków jednorodzinnych, robotniczych na tzw. wówczas "Petersdorfie".

W 1947 roku, bodajże na wiosnę ojciec mój inż. Stefan Dażwański oznajmił rodzinie, że będziemy gościli przez pewien czas znajomego ojca: pana Przemysława. Kto przywiózł pana Przemysława - tak jak wielu szczegółów i faktów - tego też nie pamiętam. Na parterze mieliśmy pokój i kuchnię, na górcie trzy mansardowe pokoiki. W jednym z nich zamieszkał pan Przemysław. Zgodnie z zasadami konspiracji - nie pytaliśmy ojca o nic, wiadomo nam było, że skierował go do nas p. Wacław Drojanowski, serdeczny przyjaciel mego ojca, że wyznaczona jest cena na głowę naszego gościa, że był postrzelony w nogę - w ucieczce - gdzieś w gajówce, stąd bardzo wyraźnie kulał. Był wysoki. Wspaniały mężczyzna, postawy iście senatorskiej - siwa głowa i sumiasty, biały wąs. Wszystko to przesądzało, że mowy nie było żeby się pokazał na naszej cichej uliczce, gdzie domek przy domku; zbyt by się wyróżniał wśród otoczenia, wśród bardzo pospolitych, prymitywnie wyglądających miejscowych ludzi. Ciężko nam było pogodzić się z tym, że żyje u nas jak w więzieniu. Dwa razy zaryzykował wyjście z domu: w wieczór sylwestrowy poprosił, żebym z nim poszła na nabożeństwo na koniec roku. Poszliśmy nie do parafialnego, a do odległego

kościola. Pamiętam, że kiedy wracaliśmy powiedział mi, że chce kupić szampana albo wino na Sylwestra, ale sam kupi, sam wejdzie do sklepu. Drugi raz odważył się pojechać z nami wszystkimi do naszej rodziny na odległe osiedle w Gliwicach. Był bardzo spokojny i czuł się widać bezpieczny.

Przebywał głównie u siebie na górze, czytał, no i pisał. Pisał, a właściwie dyktował mi - pisałam mu na maszynie. Była to jakaś rozprawa-polemika z teoretykiem marksizmu Adamem Schafem. Nie dokończył tej pracy. Chciał malować moją małą córeczkę, jeszcze wówczas nie chodziła; zachwycał się jej oprawą oczu, długością rzęs, bujnymi włosami. Ale chciał ją malować w kąpielni. Mówił, że trudno jest bardzo namalować akt dziecięcy, ale chciałby spróbować. Jakoś nigdy do tego nie doszło. Nie malował zresztą wtedy wcale, nie miał farb, pędzli...

Chętnie przesiadywał z nami w kuchni, gdzie ja, czy moja matka byłyśmy zajęte gospodarski<sup>mi</sup> czynnościami. Schodził do nas na swoje drugie śniadanie: ulubiony swój "przysmak" - ziemniaki gotowane lub pieczone w łupinach, z cebulą, czasem ze śledziem, koniecznie "matiasem".

Z moim ojcem, który wówczas jeszcze pracował /zmarł w 1953 roku/ grywał wieczorami w szachy i prowadzili długie, wieczorne "rodaków rozmowy".

Przypominam sobie, że załatwiałam coś dla pana Przemysława w Warszawie. Wysłał mnie z jakimś poleceniem - coś zawiozłam, coś przywiozłam. Miałam kontakt-spotkanie z panią w czarnym kapeluszu z dużym rondem w kościele Zbawiciela. Pamiętam miejsce: ławka z prawej strony, przed głównym ołtarzem.

Jak długo przebywał u nas pan Przemysław? - nie pamiętam: czy to był rok, czy dłużej? Nie pamiętam również kiedy

wyjechał, ani kto po niego przyjechał. Również nie uświadamiam sobie kiedy dowiedziałam się kto ukrywał się pod pseudonimem "Przemysław", chyba dopiero po jego wyjeździe. Zresztą wówczas nie umiałabym i tak wykorzystać obcowania z tym człowiekiem do rozmów i czerpania wiadomości z jego bogatego życia. Przez rok - do wybuchu wojny pracowałam w Krzemieńcu na Wołyniu. Mąż mój był Wołyniakiem, ale ani ja, ani mąż nie wiedzieliśmy właściwie nic o Henryku Józewskim, naszym wojewodzie wołyńskim. Nie znaliśmy jego kijowskiej, peowiackiej przeszłości, nie wiedzieliśmy jak blisko związany był z Piłsudskim i Jego wielkimi wizjami-koncepcjami politycznymi. Przy tym - tak trudne były dla nas te lata: bieda, życie zaczynane od zera, małe dzieci nieustannie chorujące - cała uwaga skierowana na sprawy codzienne: jak trwać, jak przetrwać.

W kilka lat po wyjeździe pana Przemysława, już po śmierci mojego ojca, mąż mój został wezwany do U.B. Indagowano go o człowieka, który wtedy a wtedy u nas mieszkał. Mąż oświadczył, że mieszkał jakiś znajomy teścia, ale on ani nie wie kto, ani nie interesował się tym człowiekiem, ponieważ był w bardzo złych stosunkach z teściem i nie wtrącał się w jego sprawy. Co było oczywistą nieprawdą. Czy uwierzono - nie wiem, w każdym razie dano spokój i nie wzywano go więcej.

Wanda Trochimowicz

Warszawa, 16 IV. 1993r.